

Grzegorz Filip

Studnia



Grzegorz Filip

Studnia

JanKa
2013

Copyright © Grzegorz Filip, 2013
Copyright © wydawnictwo JanKa, 2013

Wydanie I
Pruszków 2013

ISBN 978-83-62247-29-5

Zdjęcie autora: Kazimierz Filip

*Każda powieść mówi czytelnikowi:
„rzeczy są bardziej złożone, niż myślisz”.*

Milan Kundera, „Sztuka powieści”

1

Zegar nad tablicą przylotów wskazywał dziesiątą. Janusz zamówił espresso i przeniósł wzrok na twarz barmanki, apatycznym ruchem przesuwał ją w jego stronę małą filiżankę. Zapachu kawy nie poczuł, pewnie przez katar alergiczny, a może z powodu ogromu tej hali. Wonie musiały się tu rozprzestrzeniać w ułamkach sekund i ginąć w tysiącach metrów sześciennych obojętnego powietrza. Nie słodził, dzięki temu pozbawiona aromatu kawa miała szlachetniejszy smak; pierwsze przyjemne uczucie tego dnia. Wciąż czuł ściśnięty żołądek. Gdy się sadowił na wysokim stołku w kącie przy ścianie, gdzie powinno być przytulniej, metalowe nóżki zadzwoniły fałszywie, parodiując brzęk uszkodzonego kamertonu.

Porcelanowy naporstek ukazał dno, ale miejsce odpowiadało Januszowi, i zapragnął posiedzieć jeszcze trochę. Rzuciwszy okiem na srebrzystą tarczę, zorientował się, jak niewiele minęło czasu od dziesiątej, przyrzekł więc sobie, że nie będzie więcej sprawdzał i oczywiście za chwilę spojrzał ponownie, by się przekonać, że upłynęła zaledwie minuta. To mnie doprowadzi do szału, pomyślał i wstał zdecydowanie, znów wprawiając nogi stołka w niemiłe wibracje. Tego dnia działało mu na nerwy dosłownie wszystko, a w takich chwilach najbardziej drażniły przykre dźwięki.

– ...pierwszy raz?

Odwrócił się, słysząc za sobą głos dziecka.

Na sąsiednie siedzenie gramoliła się może ośmioletnia dziewczynka w żółtej koszulce z dekoltem w łódeczkę. Pucółowate

policzki jakby doklejone, we włosach różnokolorowe gumki. Wydało mu się, że widzi ślady szminki na ustach. W tym wieku? Zbyt obszerne ogrodniczki zwisały; poobijane kolana były odsłonięte. Podobne spodenki Anna kupiła Grażynce i to właśnie w nich... Tak! Stał przed oczami dzień, gdy miał nauczyć córkę jazdy na rowerze.

Była wiosna, ledwo obeschły chodniki, wyszedł z dzieckiem na podwórko. Potraktował to jak osobiste wyzwanie, od rana chodził tak podminowany, że do wybuchu wystarczyłaby iskra. Wcześniej wymyślił metodę i wykombinował długi kij, potem, wkładając nie-mało wysiłku, przytwierdził go do żółtej ramy. Było nieco z górki, ustawił rowerek, wydał niezbędne instrukcje, a ona po prostu wsia-dła i pojechała, zostawiając go w niemym zdumieniu. Brakowało tylko, żeby się odwróciła, posyłając z oddali drwiący uśmiech. Sama rozwiązała problem, który Janusz uważał za swój. Zawsze mu się wymykała.

Takie same spodenki, mocno podniszczone. W pierwszej chwili sądził, że dziewczynka żebrze, ale nie; sprawiała całkiem sympatyczne wrażenie.

– Do mnie mówiłaś? – zagadnął, przysiadając na zwolnionym przed chwilą siedzisku.

– Nie widziałam tu pana. Na kogo pan czeka? – spytała tonem damy.

Coś go przyciągało, może stanowczy głos, zbyt dorosły jak na osobkę, którą miał przed sobą. Pomyślał, że z nią pogada, w końcu przecież i tak trzeba jakoś zabić czas.

– Moja córka przylatuje z Londynu – odpowiedział z grzecznością, jakiej dorośli używają wobec nieznanym dzieci. – A ty? Z kim jesteś? – Rozejrzał się, ale w pobliżu nie zauważył nikogo, kto wyglądałby na jej opiekuna. Uświadomił sobie, że dawno nie mówił do dziecka i że tak samo zmienia głos i intonację, jak to robił kiedyś, rozmawiając ze swoją kilkuletnią córeczką.

– Na tatę czekam – powiedziała z przekonaniem. – Niedługo przyleci.

– A gdzie mama?

Zagryzła usta, jakby się zastanawiała. W jej zachowaniu Janusz dostrzegł poza nieco znudzonej kobiety.

– W domu – odrzekła niechętnie, moszcząc się staranniej na siedzeniu. Popatrzyła w lustro za barem i niemal dorosłym ruchem poprawiła włosy.

– Bez opieki cię puściła?

– Zawsze sama jeżdżę – zapewniła z przesadnym wzruszeniem ramion i urwała, jakby chcąc zamknąć temat.

Grażynki nie puszczali samej. W tym wieku? Nigdy! Idąc na uczelnię, odprowadzał ją do przedszkola, trzymając ciepłą rączkę małej w swojej dłoni. Dwadzieścia minut piechotą, czasem rozmawiali, częściej myślał już o zajęciach, studentach, szefowej i kiedyś tak się zagapił, że minęli przedszkole i doszli na wydział. Gaba była za mała, żeby mu zwrócić uwagę; prowadził ją, to szła. Dopiero popychając ciężkie stalowe drzwi, zdziwił się, że za rękę trzyma dziecko.

Na palcu dziewczynki złocił się tandetny pierścionek. Polakierowane na różowo paznokcie, wystrzępione po brzegach i niezbyt czyste, innym razem i u kogoś innego sprawiłyby odstręczające wrażenie. Ale nie u niej. Janusz uśmiechnął się, czując nagły przypływ zainteresowania rozmową.

– Jak masz na imię?

– Alusiu, jak możesz! Wszyscy cię szukamy! – Zaczerwieniona z oburzenia, a może od świeżej opalenizny blondynka o wzroku krótkowidza zlustrowała Janusza podejrzliwie. Z lękiem, lecz stanowczo chwyciła dziewczynkę za przegub i odwróciła do siebie; zdrętwiała, stawiając opór. – Ucieka nam, ciągle ucieka! – Jakby obrażona usprawiedliwiła się, nie patrząc w jego stronę. – Nie każde dziecko kwalifikują – dodała. – Dużo innych by chciało pojechać na kolonie Tepede.

– Mówiła, że czeka na tatę – bąknął zdezorientowany.

– Ona nie ma ojca, proszę pana! No, idziemy! – Wysoko uniosła dłoń dziecka i sterowała nią w gęstwinie ludzi.

– Do zobaczenia – zdążyła powiedzieć Alusia, zanim obie zniknęły w tłumie wypelniającym halę przylotów.

Za szklaną ścianą pulsował upał. Janusz wzrokiem poszukał srebrzystej tarczy. Kiedy się przyjeżdża ponad dwie godziny za wcześnie, trzeba wkalkulować czekanie. Był w wieku, gdy ma się już zaprawę, wyrósł z niecierpliwości. Co miesiąc trenował opamiętanie pod gabinetem doktora Gąbki. Zapisany miesiąc wcześniej na określony dzień, jak inni skazańcy odsiadywał godziny na szerokiej, twardej ławce pod ścianą, wyslizganej i lepkiej. Ciemny, zatęchły korytarz wcale nie tak starej przychodni przyszpitalnej, pełen ludzkiego cierpienia, irytacji i pokory, przypominał tamte czasy, pierwsze trzydzieści kilka lat życia. Wypełniało je uczucie upokorzenia. Poniżające kolejki i podróże pociągami, haniebne traktowanie przez urzędników, milicjantów, konduktorów i ekspedientki. Ale czekać się nauczył.

Zegar wskazywał kwadrans po dziesiątej. Tyle się zdarzyło przez tych piętnaście minut; wciąż brzmiała mu w uszach niedokończona rozmowa z dzieckiem, któremu współczuł. Alusia. Od czego to zdrobnienie? Jej obraz już mu się rozmazywał w pamięci.

Tyle się tu dzieje, zupełnie inaczej niż tamtego dnia, gdy żegnał Grażynę przed odlotem do Anglii.

Było to niedługo po śmierci Anny. Potrzebował córki jak nigdy przedtem, szukał jej towarzystwa, wieczornych powrotów oczekiwał z niecierpliwością, a ona wyjeżdżała! Z tego samego pewnie powodu, dla którego chciałby ją zatrzymać. Przywiązana była do matki, nie do niego, on w domu zadowalał się rolą z tła. Rządziły kobiety, to one codziennym dreptaniem nakręcały życie rodzinne. Został sam, obie opuściły go prawie równocześnie. Śmierć Anny i wyjazd córki zlewały się w pamięci w jedną dotkliwą ranę.

Pożegnanie przed wyjazdem odtwarzał w ciągu dziesięciu lat wielokrotnie. Po jego stronie był w tym ostatnim spotkaniu smutek i rozżalenie, podczas gdy Grażyna objawiała nerwowe wibracje, pewnie w oczekiwaniu na to, co ją spotka, gdy wyląduje na upragnionej wyspie. Za wcześnie przyjechali, długo musieli czekać na odlot, a jednak nie umiał wykorzystać tego czasu. Najpierw przysiadł w barku, później w poczekalni, unikając własnych spojrzeń, z rzadka wymieniali kilka niekoniecznych zdań na temat lotniska,

obsługi, tak jakby ciążyła im wspólna obecność. Nie wiedział, co mówić. Na dobre rady córka zareagowałaby niechybnie zniecierpliwieniem, czego chciał uniknąć, a przed czułością bronił się chyba tak samo jak ona. Odnosił wrażenie, że Gaba tłumi w sobie radość, nie chcąc jej wyraźnie uzewnętrznic. Domyślał się dlaczego.

Zapamiętał jej palce, zostawiające na błyszczącej powierzchni barowego stołu wilgotny ślad, który utrzymywał się jakiś czas, ale po chwili wyparowywał. I jeszcze uścisk – wstydlivy, przelotny – a na koniec srebrny punkcik ślizgający się na tle szerokiego, jasnego nieba.

Gdy wrócił do domu, kiedy już zamknął za sobą drzwi, wraz z domowym zapachem poczuł obezwładniającą ciszę, ból, pustkę. Długo przetrwało w nim napięcie towarzyszące rozstaniu – dwa, może trzy lata nosił w sobie niedające się opanować rozedrganie, które pojawiało się rano, gdy się pochylał nad umywalką, i powracało w różnych porach dnia aż do zaśnięcia. Nie chodziło o samotność, z którą w końcu dałby sobie radę, lecz o opuszczenie.

Z biura przychodził po zjedzonym w barku obiedzie, sprawdzał pocztę; jeśli znalazł wiadomość od córki – odpisywał, składając relację ze swego nudnego trwania, z biurowych szamotań i kwerend bibliotecznych. Jeżeli nie napisała, pisał i tak. Korkował listy w butelkach i puszczał na morze. Dotąd otaczało go w domu bogactwo wrażeń: witalność żony obserwował z dystansu, ze swego kąta kibicował sukcesom i porażkom córki. Wszystko grało wielowymiarowo, zderzało się, ucierało. A teraz? Teraz wiedział, że musi mu wystarczyć to, co sam wnosi do swojego mizernego życia. Pewnie dlatego Alona, młoda Ukrainka, polecona przez sąsiadkę do sprzątania, została niemal przyjaciółką domu. Myła okna i doczyszcziała kabinę prysznicową, prawie tyle samo czasu spędzała, opowiadając o sprawach swoich i rodziny.

Stawała przed lustrem, długie ciemne włosy związując gumką, po czym szła do ostatniego pokoju przebrać się w robocze podniszczone dżinsy i koszulę w kratę. Młodość w czystej postaci. Skręcając przed upięciem mięsisty pęk włosów, unosiła ręce, a on pod bluzką domyślał się drobnych piersi, które nigdy nie uwydatniały

się bardziej niż odrobinę. Od wejścia gadała, nawet w trakcie przebierania i potem, kiedy zaczynając od łazienki, przystępowała do porządków. Łamana polszczyzna, wspomagana ukraińskim, brzmiała czytelnie. Tylko od czasu do czasu prosił, żeby jakiś niezrozumiały wyraz przełożyła na rosyjski. Ale to rzadko. Opowiadała o chłopaku, który został na Ukrainie i bardzo chce się wybrać do Polski, żeby pracować na budowie, o żyjących w trudnych warunkach rodzicach, chętnie korzystających z jej pomocy. Mówiła, a on słuchał. O Polsce wyrażała się z sympatią i była wdzięczna, że może tu pracować.

Najwytrwalej zajmowała się łazienką, twierdząc, że od wyglądu tego miejsca zależy obraz całego mieszkania i samopoczucie człowieka. Pewnie przeczytała to w jakimś magazynie i wzięła sobie do serca. – A kuchnia? – pytał z przekory. Jak uczennica profesorowi, posłusznie przyznawała mu rację.

Za każdym razem, gdy się pojawiała w drzwiach, zdradzał chęć przytulenia jej jak córki i w ostatniej chwili powstrzymywał ten gest, robiąc w stronę dziewczyny nieokreślony ruch. Potem było mu głupio z tą połowicznością, ale ona zdawała się nie zauważać jego zakłopotania. Serdeczność, jaką miał dla niej, była lustrzanym odbiciem bezpośredniości Alony, która traktowała go przy tym jak ojca, z szacunkiem, nawet nieśmiałością. Jeśli coś postanowił, nie sprzeciwiała się. Obchodził się z tą dziewczyną, jakby należała do rodziny, umawiał częściej, niż było trzeba, a i tak nie mógł się doczekać, kiedy przyjdzie. Raz pokazała zdjęcia, a on poprosił o jedno i nie wiedząc dlaczego, oprawił i umieścił na półce. Czasem gotowała mu obiad i wtedy zapraszał ją do stołu. Nie zastanawiał się, jaką rolę wyznacza Alonie; gdyby nad tym pomyślał, musiałby się zgodzić, że zastępuje mu nieobecną córkę. I że on bardzo chce, aby tak było. No ale teraz to już nieważne. Teraz przyjeżdża Grażyna.

Projekt okładki:
Adam Walas

Redakcja i korekta:
Janina Koźbiel, Jan Koźbiel

Skład i łamanie:
MJK

ISBN 978-83-62247-29-5

Wydawnictwo JanKa
ul. Majowa 11/17
05-800 Pruszków
694 536 051
wydawnictwo@jankawydawnictwo.pl
www.jankawydawnictwo.pl